

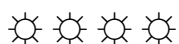
*Anna Czarnota*

*Moje dzieciństwo*

*sielskie ...*

*i matę anielskie*

*2018r.*



Urodziłam się przed II wojną światową w biednym rejonie Polski, w biednej wsi, w biednej rodzinie, w biednej chałupie pod biedną strzechą. Chałupa była niska, drewniana i stała przy drodze w środku wsi.

Byłam najstarsza z dzieci i miałam jeszcze czworo rodzeństwa. Może to właśnie dlatego szybko doszłam do wniosku, że od najmłodszych lat trzeba radzić sobie samej, nie ważne jak, ważne, żeby skutecznie.

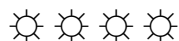
Pierwszym moim wspomnieniem jest scena w kościele, gdy mama trzymała mnie na rękach i dała mi mały pieniążek do wrzucenia na tacę. A ja, nie dość, że tego pieniążka nie wrzuciłam, to jeszcze garść monet capnęłam z tej tacy. Zdaje się, że już wtedy wiedziałam, że trzeba „zagarniać do siebie”.

Z późniejszych chwil niewiele pamiętam, widocznie nie było tak źle, by to zapamiętać. Ani tak dobrze...

W wieku 7 lat miałam swoje domowe i gospodarskie obowiązki. Musiałam paść krowę i pilnować młodszego rodzeństwa. Wypasanie bydła w tamtych czasach nie było takie proste. Prowadzałam tę krowę jakieś pół kilometra za wioskę, na powrozie, albo na łańcuchu, a potem musiałam stać koło niej kilka godzin, aż krowa się porządnie naję. Przysiąść można było tylko na chwilę, bo zwierzę co rusz szło dalej. Wypasało się na miedzy i rowach. Raz to nawet to krówsko skoczyło na mnie i przywróciło mnie. Ale ja nie narzekałam i byłam bardzo dumna, gdy dziadek pochwalił mnie, że krowa taka najedzona, na pewno da dużo mleka. Mniej byłam zadowolona, gdy musiałam zajmować się roczną siostrą. Gdy chciałam iść na wieś do dzieci, to musiałam ją brać ze sobą. Nosiłam ją wtedy na plecach, a ona trzymała mnie za szyję. Byłam tak wprawiona, że z tym bagażem na plecach biegałam tak samo szybko jak inni. Pewnego razu posadziłam małą zbyt blisko psiej budy. Pies wyskoczył i ją przestraszył tak, że dzieciak zrywał się z płaczem przez kilka nocy. Od tej pory nie wolno mi było nigdzie z siostrą chodzić, musiałam ją bawić w chałupie lub na podwórku. W tym czasie „modne” się stało podszczypywanie dzieci, aby te płakały i wtedy można było rodzicom powiedzieć, że „ona nie chce się ze mną bawić”. Podszczypywałam więc ją często. Nie tylko ja miałam taką wymówkę, inne dzieci też tak robiły, ale może tylko mnie zdradziły czerwone znaki na tyłku młodszej siostry.

Czasem chodziłam z ojcem do sklepu, gdzie ojciec „brał na zeszyt” różne produkty, a najczęściej to zapalki, sól, naftę. Gdy już te rzeczy były w domu, to można było żyć. Poszłam kiedyś potajemnie sama do sklepiku, żeby sprzedawca mi dał cukierków na borg (czyli na kredyt). Pogonił mnie.

Był to czas okupacji. Wszystkim było ciężko. Dziewczyny ze starych swetrów robiły skarpetki, rękawiczki, szaliki, czapki, kolejne swetry... Nic nie mogło się zmarnować. Za druty do dziergania służyły zaostrzone odpowiednio szprychy ze starego roweru. Ja oczywiście przy tej robocie też chciałam być, bo z natury byłam taka, że wszędzie się pchałam. Podglądałam więc, jak one te oczka robią, ale nikt mi nie pozwolił nawet dotknąć drutów. W wieku 7 czy 8 lat sama nauczyłam się dziergać. Przy pomocy dwóch dłuższych gwoździ i szewskiej dratwy. Robiłam i prućam, i od nowa... i tak w kółko, aż nauczyłam się tak, że nie musiałam nikogo prosić o pomoc.



Ojciec mój był szewcem, przyuczonym u jeszcze lepszego szewca. Naprawdę robił piękne buty, szczególnie takie dla panienek i młodych kobiet. Pantofelki (mówiło się na nie meszty) czarne, lakierowane, na słupku, z paseczkiem i pięknym guziczkiem. Wszystkie dziewczyny chciały mieć buciki od mojego ojca, bo były najlepiej dopasowane. Ale ojciec nie wyrabiał się z zamówieniami. Nie był słowny i z tego powodu zdarzały się awantury. Ale jak miał być słowny? Mieszkaliśmy w jednej izbie: dziadek, rodzice i pięcioro małych dzieci. A jak się robi buty, to się stuka, puka, wbija gwoździe w drewniane kołki, piłuje...i zawsze jest głośno. A tu wciąż albo jakieś dziecko spało, albo i dwoje, inne było chore... nie mówiąc o ciasnocie. Dzieci wszędzie się kręciły, zabierały ojcu jakieś rzeczy, pałętały się pod nogami i kończyło się zazwyczaj tym, że ja obrywałam szewskim paskiem (nazywał się pocięgiel) za to, że ich nie pilnuję. A ja miałam tylko 7 lat i sama chciałam się jeszcze bawić. Jednak tyle już ode mnie wymagano....

Ojciec robił też buty Niemcom- tym, którzy stacjonowali w naszej wsi. Płacili mu za to. Buty były duże, sztywne, z cholewami. Niemcy zawsze w sprawie tych butów przychodzili późnym wieczorem, żeby nikt ich nie widział. Miałam taki zwyczaj: gdy ojciec stał na podwórku, biec do niego i takiego rozpędu łapać go za nogi. Raz tata stał z Niemcem, a ja przez pomyłkę złapałam za nogi nie ojca, a niemieckiego żołnierza. Spojrzał na mnie i rozplakał się. Podobno powiedział, że on zostawił w swym domu taką małą córeczkę.

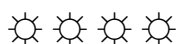
Największą frajdę miałam z żarnami. Pchałam się wszędzie, wszystko chciałam widzieć i wszystko robić, tylko nie to, co akurat mi kazali. Nie wiem, jak to się stało, że to akurat u nas te żarna były. Schowane, co prawda, i gdy się mieliło, to zawsze ktoś musiał stać „na czatach”, czy Niemcy nie idą. Ja oczywiście też chciałam mleć, choć ledwie dosięgałam do żaren. Nie raz dostałam tą żarnówką w głowę, bo wystarczyło tylko nierówno ją prowadzić po obwodzie koła. Żarna to świetne urządzenie - można było regulować kamieniami i mąka była grubsza. Nie była to lekka praca - zazwyczaj musiały mieć dwie osoby. U nas najczęściej mieliła moja kuzynka starsza ode mnie o 12 lat. Gdy ona pracowała, ja się też tam pchałam, a ona odpędzała mnie, bo nie umiałam równo prowadzić żaren. A że byłam mała, to dostałam żarnówką prosto w twarz.

Mimo to nie zniechęciłam się i do tej pory asystowałam, aż się wszystkiego nauczyłam. Gdy już umiałam, kuzynka mnie nie odpędziała i chciała, by jej pomagać, ale ja właśnie wtedy zupełnie straciłam zainteresowanie żarnami.



Mieliśmy dziadziusia Kazimierza. Właściwie to był surowym dziadkiem. Dzieci sąsiadów bały się go, szczególnie, gdy nie pozwalał zrywać jabłek z naszego sadu. Gdy jakaś kura sąsiadów wlaźła w nasze grządki buraków, to jak posłał za nią jakiś kołek, to już jedynie na rosół się nadawała. Ale dla nas - jego wnuczków - dziadzius był dobry. Miał tylko jednego syna, Ignacego - mojego ojca. Dziadzius siadał na ławie, jedno dziecko trzymał na kolanach, zakładał nogę na nogę i na tych swoich wielkich butach z cholewami huśtał kolejnego wnuka, albo i dwoje na raz. Pamiętam te jego ładne buty z cholewami, zrobione przez syna. To był rarytas - te buty. W czasie wojny, gdy czasy były naprawdę ciężkie, ludziska nie mieli obuwia. Chodzili latem boso albo w drewniakach. Gdy była jedna para butów w domu, to dopiero jak jeden wrócił z kościoła, to drugi, w tych samych butach mógł wyjść. Podobnie było z szalikami, czapkami, rękawiczkami. A u nas w chałupie zawsze mieliśmy skórzane buty z cholewkami, których nam wszyscy zazdrościli. I właśnie pewnego razu, przez te buty z cholewami, bardzo naraziłam się dziadkowi. Była to zima. Poszłam na ślizgawkę i tak, jak wszyscy, jeździłam albo na nogach, albo na tyłku. Nie raz zaliczyłam pewnie jakąś przeręblę. Gdy wróciłam do domu, to te moje nowe cholewiaczki można było wykręcać - tak były mokre. Nawet ich zdjąć nie można było. Rodzice to już chyba siły nie mieli do mnie, bo dziadek się wziął za reprimendę. Krzyczał wtedy bardzo na mnie, poszturchiwał mnie tym mokrym butem i podstawiał mi go pod nos. Od tej pory już mnie nie huśtał na swoim bucie.

Czasem mi się zdaje, że ojciec to się cieszył z tego mojego sprytu. Mama natomiast była bardzo spokojnym człowiekiem i pewnie się zamartwiała, skąd to się wziął taki czort w rodzinie. Wszędzie było mnie pełno. Nawet chodzić normalnie nie umiałam, tylko podskakiwałam. Zapewne miałam ADHD, tylko, że wtedy nikt o tym jeszcze nie wiedział.



Gdy miałam 4 lata, spotkała naszą rodzinę tragedia. Po narodzinach mojej siostry Juli, okazało się, że mama jest chora. Ciągłe ją coś bolało, cierpiała i chudła. Miała raka, ale była wojna i była bieda, więc nie leczyła się. Urodziła potem jeszcze dwoje dzieci- syna Antoniego i córkę - Tereskę. Gdy ojciec zawiózł mamę do szpitala, za późno już było na jakiegokolwiek leczenie. W takim cierpieniu żyła jeszcze trzy lata. Wszystkie pieniądze, których i tak było niewiele, szły na proszki przeciwbólowe - tak zwane kogutki. To była straszna tragedia: wojna, bieda i pięcioro

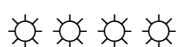
małych dzieci. Już nie było mowy o robieniu butów. Ojciec musiał coś ugotować dzieciom, napalić w piecu. Dziadziś był coraz starszy i miał mniej sił, a było jeszcze kawałek pola do ręcznego obrobienia.

Byłam przy śmierci mojej mamy, stałam przy jej łóżku. Pamiętam jedne z jej ostatnich słów: „Co będzie z moimi pszczołami?”. Były też przy niej trzy jej kuzynki. Jedna z nich wzięła dłoń matki i położyła ją na mojej głowie. Dalej, na ławie siedział mój ojciec i trzymał na kolanach mojego młodszego brata Józia. Tata płakał. Najmłodsze dzieci zabrali z domu krewni.

Śmierć mamy nie dotknęła mnie zbyt mocno. Nie byłyśmy ze sobą tak blisko. Przyzwyczaiałam się do tego, że ona przez lata była chora i że zajmowała się czwórką młodszych dzieci. Ja byłam najstarsza, samodzielna i do tego, jak to wszyscy mówili, zuchwała. Byłam energiczna, żywotna, miałam co innego w głowie, a tu wszyscy oczekiwali, że zdam sobie sprawę z powagi sytuacji i że będę pomocna, że przejmę wiele obowiązków. A ja miałam tylko 8 lat... Bardziej mi chodziły po głowie chustki - te mamine, na głowę, co były w kufrze schowanym w komórce. Były takie ładne! Te na lato były jasne, na zimne miesiące - ciemniejsze. Gdy chciałam się w nie stroić, mama nigdy mi nie pozwalała. I wtedy, gdy mama umarła, powiedziałam: „Teraz chustki moje”.

Pogrzeb był w listopadzie 1943 roku. Mama zmarła mając 36 lat. Właśnie w dniu pogrzebu Niemcy zarządzili ogólne poszukiwania zaginionego niemieckiego żołnierza i wszyscy mężczyźni ze wsi musieli iść w pole i do lasu, by wziąć udział w tych poszukiwaniach. W tej sytuacji nawet nie miał kto nieść trumny mamy. Dopiero tata poszedł do niemieckiego komendanta i poprosił o zwolnienie kilku chłopów, aby pogrzeb mógł się odbyć. Z rodzeństwa tylko ja byłam na pogrzebie. Do dzisiaj pamiętam ten silny, mroźny, listopadowy wiatr.

A tego nieszczęsnego żołnierza dopiero po wojnie wyorał jakiś chłop na polu.



Po sąsiedzku miałam kuzynkę Zosię, która była trzy lata starsza ode mnie. Z drugiej strony mieszkało jeszcze dwóch kuzynów, ale oni przy mnie to tak, jakby ich w ogóle nie było. Zosia była spokojna, grzeczna i pracowita - zamiętała chałupę, kołysała młodszego braciszka, ciągle była blisko mamy, nie odchodziła od domu. A ja jak ten wicher - czasami całymi dniami mnie nie było. Jedzenie sobie sama zdobywałam.

Blisko nas mieszkała panna z dzieckiem. W tamtym czasie los takich dzieci i ich matek był straszny. Dzieci bywały okrutne, nękały i wyzywały te biedne dzieciaki, powtarzając głośno to, co słyszały od starszych: „znajduch”, „bękart”... Nikt nie chciał się z takim dzieckiem bawić, można

było je popychać i trącać, a ono uciekało jak wystraszone zwierzątko. Ja się też w tej kwestii popisałam. Do tej pory, gdy o tym pomyślę, czerwienię się ze wstydu. Syn tej panienki - dwuletni Gustek - spał na kawałku kocyka koło domu. Mogłam mieć wtedy jakieś 5 lat. Urwałam wielką pokrzywę i wysmarowałam mu nią nogi tak, że się biedak poderwał z krzykiem, a ja oczywiście uciekłam. Matka Gustka poskarżyła się mojej mamie. Dostałam takie lanie, jak nigdy wcześniej, aż się kij na mnie połamał. No, ale należało mi się. Tylko czyja to wina, że źle traktowano nieślubne dzieci? Przecież to dorośli odpowiedzialni są za to, że wytworzyli klimat i przekonanie, że takie dziecko jest gorsze. Dzieci słyszały to od dorosłych i w swej szczeroci i bezpośredniości to demonstrowały, często okrutnie. A ja byłam wyjątkowo bystrym słuchaczem. Takie „gumowe ucho”. Wszystko wiedziałam, co się w całej wsi dzieje.



Wrócę tu jeszcze do wczesnych lat mojego dzieciństwa. Miałam wtenczas na pewno 5 lat, dlatego, że tak kojarzę fakty: Niemcy kazali zrobić wszystkim mieszkańcom wsi zdjęcia do „kenkarty”- nowych dowodów osobistych. Na naszej stodole było rozciągnięte białe prześcieradło,



siadali wszyscy po kolei na ławce i tylko „pstryk- pstryk”. Gdy już się ta sesja skończyła, prześcieradło zdjęto. Wtedy tata posadził mnie i mojego młodszego o 2 lata brata Józia i fotograf zrobił nam zdjęcie.

Siedzimy takie dwa małe modele w sukienkach w kwiatki, uszytych na pewno z flaneli. Za to buciki- trzewiczki „pierwyj sort”, co przeczy powiedzeniu, że „dzieci szewca chodzą boso”. To było moje pierwsze zdjęcie w życiu. Pamiętam to, że tata ułamał kilka gałązek z kwitnącej jabłoni i zrobił nam bukiety do tego zdjęcia. Był to rok 1940, kwiecień lub maj, skoro kwitły jabłonie...

I teraz małe sprostowanie: zdjęcie z kwitnącymi gałązkami jabłoni to moje drugie zdjęcie w życiu. Pierwsze było zrobione, gdy miałam 4 lata, a mój nieodłączny Józio - 2 lata. Ciotka Marysia



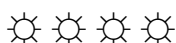
trzymała na rękach moją młodszą siostrę Julę. Według moich obliczeń, mogła mieć jakieś 5-6 miesięcy, a urodziła się w marcu 1939 r. Ciotka Marysia była kuzynką mojej mamy. Obok mnie stał syn kuzyna mojej mamy - Franek. Oczywiście i ciotka, i Franek są boso, a my - jak przystało na rodzinę szewca - w bucikach. Mama ma na nogach te słynne - z paseczkiem. Nie pamiętam momentu robienia tego zdjęcia, za to kojarzę miejsce - było to u ciotki Marysi w ogrodzie.

Poznałam po charakterystycznym kawałku płotu plecionym z gałęzi. Takie płoty się wtenczas robiło.

Z ciotką Marysią łączy mnie takie oto wspomnienie... Było to już po śmierci mamy (moje dzieciństwo dzieliło się na dwa etapy: do śmierci mamy i po jej śmierci). Pewnie jakoś chudo wyglądałam, bo ciotka postanowiła mnie, sierotę, odkarmić. Zawsze o dwunastej doiła krowę właśnie na tym ogrodzie.

- Masz tu kubek (taki blaszany półlitrowy) - powiedziała - będzie on stał na oknie. Masz przyjść, udoję ci mleka prosto do garnuszka.

Podobało mi się to. Przychodziłam i piłam to mleko. Było ciepłe, z grubą pianą, którą miałam aż do nosa. Zegarka nie trzeba było mieć - dzwony kościelne o dwunastej dzwoniły na Anioł Pański. Ale potem jakoś zaniedbałam to dożywianie... Pewnie byłam za daleko - albo gdzieś we wsi, albo w lesie i nie mogłam zdążyć na to dojenie.

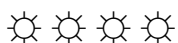


Miałam szczególne zdolności do włazenia na drzewa. Mogło być wysokie, bez gałęzi na dole, a dla mnie to „był przyszcz”, żeby wleźć na samą górę. Nawet chłopaki mi w tym nie dorównywali. Nie wiem tylko, jak to było z tym wchodzeniem, bo nie pamiętam, abym miała jakieś

majtki. Eee, pewnie nikogo to nie interesowało, co mam pod sukienką. A może traktowali mnie jak chłopaka? Koszulki miałyśmy szyte, płócienne lub z flaneli.

W sadzie mojego dziadka było dużo jabłoni, może 10 czy 12 sztuk. Do tej pory pamiętam, gdzie jakie rosły i jak smakowały. Nazywałam je wszystkie po swojemu. Były „słodziszki”- te słodkie, były „zimaki”- twarde i kwaśne, a do tego rosły blisko obornika i jak które jabłko spadło, to prosto w gnojówkę. Były jeszcze „czerwone” i „zielone”. Na wiosnę ledwo kwiaty opadły, a jabłuszka były małe jak 50 groszy, to dla nas, dzieci, już były dobre i zajadaliśmy je. Pewnie po długiej zimie i wiosnie byliśmy spragnieni takich rzeczy. Nawet podlizywaliśmy świeżo bielone ściany - tak organizm wyrównywał sobie wszelkie braki! Bieliło się wapnem palonym. U nas zawsze robiła to moja kuzynka (ta od żaren). Pędzel przygotowała sobie ze słomy prośnianej (z prosa) i oczywiście, zawsze zachlapała sobie tym wapnem oczy - miała je potem długo czerwone i obolałe.

No i w tym naszym sadzie, oprócz jabłoni, rosła jedna śliwa i jedna grusza (rozpaczałam, dlaczego nie mamy ani czereśni, ani wiśni). Kiedyś, wysoko, na samym czubku tej gruszy wypatrzyłam dużą, żółtą gruszkę. Postanowiłam ją zdobyć. Było południe, słońce mocno świeciło. Wdrapałam się na drzewo i już byłam blisko gruszki, ale wielki szerszeń też miał na nią ochotę. Jak mnie nie użądli w sam czubek głowy, że aż z krzykiem zeskoczyłam na ziemię. Gula mi taka wielka na głowie urosła i okropnie bolało. Mama zrobiła mi zimny kompres z jakiejś ścierki i położyłam się do łóżka. Już do wieczora mieli spokój ze mną.



Niedaleko naszej chałupy mieszkała moja koleżanka Czesia, z którą od pierwszego dnia w szkole siedziałam w jednej ławce. Czesia miała dziadka, który mieszkał niedaleko i miał w sadzie kilka przepięknych drzew czereśniowych. Czesia zawsze mówiła, że dziadek jest tak chciwy, że nigdy nie dał żadnemu dziecku ani jednej czereśni. Mogłyśmy sobie jedynie z drogi na nie popatrzeć. Ślina nam ciekła na widok dorodnych, ciemnoczerwonych i różowych owoców. W czasie dojrzewania czereśni zawsze pod drzewem siedziała jakaś babka albo dziadek, żeby przepędzać szpaki i dzieci. Nie ma się co dziwić - ludzie czekali cały rok na ten urodzaj. Co nie sprzedali na rynku, to sprzedali w przetwórni owocowo-warzywnej w Rzeszowie.

W lesie, niedaleko naszej chałupy, rosły bardzo wysokie drzewa, takie... „niby czereśnie”. Jako owoce miały małe jagódki, mówili na nie „trześnie”. I właśnie tymi trześniami wynagradzałam sobie apetyt na czereśnie z sadu dziadka Czesi. Drzewa były naprawdę wysokie - miały nawet 10 metrów i na dole nie miały wcale gałęzi. Ale co to dla mnie! Wspinałam się na nie sprytnie i tyko

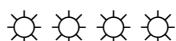


najczęściej ucierpiała moja sukieneczka - zazwyczaj wracałam do domu z dziurą w kiecce. I znów wieczorem była bura....

W lesie nie miało prawa się nic zmarnować. Zbierało się suche gałęzie, wiązało w wiązki i na plecach przynosiło się do domu na opał. Po te gałęzie chodziły panny i chłopcy, ale tacy dużo starsi ode mnie –16 i 18-latkowie. Oczywiście ja też się uparłam, że koniecznie muszę iść po drzewo do lasu. Tyle molestowałam tatę, aż mi dał sznurek i powiedział: „Masz. Idź!”. Miałam wtedy może 10, najwyżej 11 lat. Uzbierałam sporą wiązkę, starsi pomogli mi ją związać sznurkami i założyli na plecy. Wiązkę trzymało się za sznurki koło szyi, a końce ciągnęły się po ziemi. Była wtedy zima, dość wysoki śnieg. Pamiętam, że ledwo się przywlekłam do domu. Nogi dygotały mi z wysiłku i zmęczenia. Ale przecież musiałam spróbować.

Była wojna, brakowało wszystkiego, opału też. Ludzie zimą palili płoty, łąciny z ziemniaków. U nas dziadek najpierw łącinami ocieplał na zimę chałupę, a dopiero wiosną się je paliło.

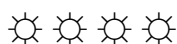
Jesienią, gdy już wszystko z pól było zebrane, krowy pasażo się luzem, wszyscy razem z całego sąsiedztwa. Wtedy to dopiero była frajda! Paliliśmy ogniska i piekliśmy ziemniaki, które albo ktoś przyniósł z domu, albo wykopało się jakieś resztki z pola. Trochę suchej trawy, suche gałązki, a potem suche krowie placki. Chyba wtenczas były najsmaczniejsze ziemniaki. Wszystkie dzieciaki wracały do domów szczęśliwe, z czarnymi gębami.



Nie pamiętam, żeby dzieci się między sobą biły. Mnie nigdy nikt nie zbił ani ja nikogo, chociaż najczęściej bawiłam się z chłopakami z sąsiedztwa, bo dziewczynki były dla mnie za spokojne. Po sąsiedzku miałam trzech kolegów: Tadek, Władek i Józek. Tadek był najstarszy, Władek chodził ze mną do tej samej klasy, a Józek był młodszy ode mnie. To była moja „paczka”. Obowiązkowo każdy chłopak miał procę. Poza strzelaniem z procy bawiliśmy się w tak zwanego „Kiczka”. W ziemi musiał być wygrzebany podłużny dołek, do którego wkładało się kołek. Drugim, większym kołkiem trzeba było trafić w ten w dołku tak, by go wybić w powietrze. Wygrywał ten, którego kołek najdalej poleciał. Graliśmy też w „Dwa ognie”, czyli w „Zbijanego”. Czasem ktoś miał jakąś gumową piłkę, ale często trzeba się było zadowolić szmacianką.

Pewnego razu Tadek strzelał z procy. Moja zabawa z nim polegała na tym, że wystawiałam głowę zza rogu stodoły, mówiąc do niego: „I tak we mnie nie trafisz!” Kiedy on strzelał, ja szybko się chowałam. I tak kilka razy, aż za którymś razem trafił mnie prosto w oko. Przez jakiś czas byłam spokojna, bo oko bardzo bolało. Tata już myślał, że na to oko straciłam wzrok, ale jakoś się zagoiło i szczęśliwie zakończyło. Tylko ślad po tej zabawie został do dzisiaj....

W porze letniej, podczas wakacji biegaliśmy po podwórku do późnego wieczora. Pamiętam z tych wieczorów dużo śmigających nad głowami nietoperzy. Mówiono, że jak taki gacek wpadnie we włosy, wkręci się w nie tak, że trzeba będzie je obciąć prawie na łyso. Dziewczyny w popłochu zarzucały kiecki na głowę, tylko koszule się z dala bieleły.



Czasem chodziłam z mamą do jej znajomej, która była dość bogata, ponieważ jej rodzina hodowała pszczoły. I ta mamy znajoma dawała mi odrobine miodu na talerzyku po polizania. Lizałam ten miód jak kot. Aby dzieci nie domagały się miodu, straszono je opowieścią, że jak się zje za dużo miodu, to się potem pępkiem wylewa. Pamiętam, że ze strachem zaglądałam, czy mi się czasem już nie wylewa. Na szczęście nie wylał się, widocznie nie zjadłam go za dużo. Chociaż..., gdyby się wylał, można by było jeść go jeszcze raz od nowa....

Prysmakiem dla nas, małych dzieci, była mąka przyrumieniona na patelni. Była to zasmażka do zupy albo do kapusty z grochem. Mąka była całkiem sucha, zapewne z braku tłuszczu. Mama nasypywała nam, dzieciom, trzy takie kupki mąki i jadło się ją językiem prosto z ławy. Dobrze to było.

Kto miał dwie krowy, a mniej dzieci, to robił masło w maselniczce i ser twarogowy. U nas, niestety, była jedna krowa, a dzieci dużo, to już na masło śmietany nie starczało. Za omastę do potraw służyła śmietana smażona na patelni. Musiała się ona smażyć dość długo, aż białko się wytrąciło z tłuszczu. Podobne to było do tartej bułki zrumienionej na maśle, tylko wiele lepsze, bo takie pachnące. Czasem dostawałam kawałek chleba umaczanego w tej zasmażce - mmm...niebo w gębie...

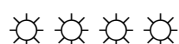
W chałupach już od rana gotowało się barszcz biały - żur na zakwasie albo ziemniaczankę z tą śmietaną. Żur dobrze było zabielić mlekiem. Krążył we wsi taki żart, że po barszczu nie trzeba myć garnka. Latem wszyscy mieli świeże warzywa prosto z ogrodu. Nie pamiętam, abym jadła jakieś smaczne rzeczy, ale uczucia głodu też nie pamiętam.



Podobno, gdy dziadek Kazimierz był jeszcze młody, to nasze rodzinne gospodarstwo stało dobrze - mieliśmy dorodne krowy i konia, po którym potem tylko lejce wisiały w sieni. Pamiętam jeszcze świnkę w chlewiku. I nawet służącą mieliśmy - taką daleką krewną, żeby była do pomocy przy dzieciach. Wtedy ojciec mógł się zająć robieniem butów. Były zamówienia, było dobrze. A potem było coraz gorzej, coraz trudniej..., zaczęły się „chude” lata. Dziadek się starzał, chorował na astmę, do tego choroba mamy, wojna i coraz więcej dzieci...

Niemcy na wszystkie rodziny nałożyli kontyngent - mleko im trzeba było oddać do zlewni, zboże i inne ziemiopłody. Nikogo nie obchodziło to, że ludzie głodują, chorują, że nie mają co dać dzieciom do jedzenia. Mój tata oddawał 2 litry mleka co drugi dzień. A przecież krowy nie doiło się okrągły rok - bywała cielna. Gdy już u nas nie było mleka, to ciotki - kuzynki mojej mamy, najpocziwsze kobiety na świecie, choć same nie miały dużo, dzieliły się z nami, żeby choć najmłodsze dzieci dostały. Dla mnie zazwyczaj już nie starczało. Może w ten sposób odzwyczaiłam się od mleka i gdy już po ocieleniu, znów można było krowę doić, ja mleka nie chciałam. Przestałam je lubić.

Pewnego razu przez wieś jechał samochód ciężarowy, który wiozł skrzynki z jajami do punktu skupu. Na zakręcie jedna skrzynka z jajami spadła z samochodu i wpadła do rowu. W takiej skrzyni było 360 jaj. Właśnie wtedy wracali ludziska z kankami ze zlewni. Wszyscy rzucili się do rowu do tych jaj. Nasz tata też przyniósł do domu dwulitrową kankę pełną jajek. Ale była radocha! Jajeczniczy było do oporu. Nie przeszkadzało nawet to, że trafiło się trochę trawy, trochę chrzęściło w zębach (od ziemi czy skorup?), ważne, że była wyżerka. Bo przecież nie jadało się takich dań. Nawet jeśli było kilka kurek i jak było jakiegś jajko, to najczęściej potrzebne było do klusek czy placków, które się smażyło na gołej płycie.



We wsi znaczącą pozycję miał ksiądz. Gdy się go spotkało na drodze, należało go pocałować w rękę i powiedzieć: „Pochwalony Jezus Chrystus”. Kiedyś zauważyłam, że ksiądz idzie przez wieś, ale minął naszą chałupę. Puściłam się pędem za nim i jak w końcu dopadłam go zziębiona, to oczywiście „buchnęłam go w mankiety” i powiedziałam: „Na wieki wieków, amen”. Ksiądz się uśmiechnął i poszedł dalej, ale ja się mocno zawstydziałam...

Po śmierci mamy, przez rok przychodziła do nas ciotka Wiktusia, siostra mojej mamy, która była samotną kobietą. Przychodziła do nas rano, a wieczorem szła spać do swoich kuzynek. Widocznie nie miała sumienia zostawić nas na pastwę losu, ale do dzieci też wielkiego serca nie miała. Liczyła na mnie, że będę się zajmować młodszym rodzeństwem, ale w tym względzie wielkich korzyści ze mnie nie miała. I pewnie nie raz miała wielką ochotę mi przyłożyć, ale jakby to wyglądało, gdyby ciotka była biedną sierotą? Znalazła więc inny sposób - szczypała mnie. No to i ja ją szczypałam. I tak wojowałyśmy ze sobą. Pamiętam, jak mówiła, że już do mnie nie ma siły i że chyba poskarży się na mnie do księdza. Trochę się tego księdza przestraszyłam i przestałam ciotkę szczypać. Po latach dowiedziałam się, że ciotka Wikta nie lubiła się z moim ojcem i dziadkiem.

W tamtych czasach mówiło się, że dziecko bez bicia się nie wychowa. Bili więc i mówili, że to dla jego dobra. Nauczyciele bili w szkole, ksiądz bil na lekcjach religii, a rodzice bili w domu. Dobrze, że było podwórko...



Bardzo lubiłam chodzić z ojcem w pole. Żeby tam dojść, trzeba było przeciąć szosę, która szła z Rzeszowa do Łańcuta. Miałam uciechę z tego, że asfalt się tak fajnie kleił do bosych stóp, ale nóg potem domyć nie można było. Na polu tata grabił dużymi, drewnianymi grabiami, a ja miałam za zadanie zbierać kłoski, które jeszcze czasami gdzieś tam zostały. Takie wyzbierane kłoski dostawały potem kury do wydziobania ziaren. Ani jeden kłos nie mógł się zmarnować. Potem ojciec zawijał wszystko w jakąś płachtę i przynosił do domu na plecach.

Mieliśmy z dziećmi opracowany taki sposób na to, jak chodzić po ściernisku bosy i nie pokaleczyć się za bardzo. Bo przecież te ścięte źdźbła były twarde i ostre. Trzeba było najpierw nogą posunąć nisko nad ziemią, aby źdźbła się położyły, a dopiero wtedy postawić stopę na ziemi. Sposób był dobry, choć stopy i tak były zmaltretowane - pokaleczone, a palce zbite.

Dobrze pamiętam moją pierwszą i jedyną wyprawę do lasu na jagody. Żyła jeszcze wtedy moja mama, więc mogłam mieć jakieś 7, najwyżej 8 lat. Dziewczyny z sąsiedztwa szły na jagody, ale one były już pannami, miały około 20 lat. No i oczywiście ja też się uparłam iść. One miały ze sobą wiadra, ja dostałam butelkę. Do lasu trzeba było iść ze dwa kilometry, ale dla 7-letniej dziewczynki to już i tak dość. W lesie żadna jagoda nie trafiała do mojej butelki, bo wszystkie zjadałam. Potem udało mi się jakoś uzbierać pół butelki. Tylko, że w drodze powrotnej co rusz odsypywałam sobie odrobinę i zjadałam. Do domu wróciłam bez jagód. W tym czasie mój młodszy brat Józio było chory. Mama zaczęła lamentować:

- Józio tak czekał, że Hania mu przyniesie jagód, a tu nie ma nic! On tak czekał, a ona wszystko zjadła!

Spuściłam głowę i naburmuszyłam się trochę. Pomyślałam sobie, że żeby mi wyraźnie powiedziała: „Przynies Józiovi”, to może bym mu kilka przyniosła. Jednak było mi bardzo wstyd i strasznie mi się chciało płakać. Czułam się podle. Na szczęście sąsiadka, która uzbierała całe wiadro, przyniosła Józiovi trochę jagód na talerzyku i w ten sposób uratowała sytuację.



Mój ojciec był leworęczny i zapewne odziedziczyłam po nim tę skłonność, bo gdy zaczęłam pisać, to też lewą ręką. On natomiast się uwziął, że mnie oduczy. A mi tak pięknie się pisało lewą ręką! Literki, co prawda, też były na lewo wywrócone, ale potem dobrze je się czytało w lusterku.

Dostawałam po tej lewej ręce, zazwyczaj jakimś kawałkiem skóry albo wszechobecnym szewskim pocięciem. No i pod naciskiem rodzinnego terroru zaczęłam pisać prawą ręką. Nauka szła mi nadzwyczaj gładko. Nie musiałam się w ogóle uczyć i przynajmniej o to się nikt do mnie nie czepiał.

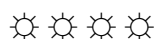
Gdy chodziłam może do 4 klasy, przed lekcją, na skrawku papieru napisałam list do chłopaka z klasy. Podałam tę kartkę przez kogoś, aby podał dalej chłopakowi. W tym czasie weszła do klasy nauczycielka i to jej podali mój list. Wywołała mnie na środek klasy i dostałam parę kijów. Nie bardzo mnie bolało, bo odpowiednio się wygięłam, tylko trochę po sukience mnie przetrzepała. Tylko ten wstyd... Wracaliśmy ze szkoły do domu, dzieci się ze mnie śmiały i wykrzykiwały: „O, panna, list do kawalera napisała!”. Naburmuszyłam się i nie odzywałam się do nikogo. Wracała z nami moja kuzynka Zosia (ta spokojna). Szła za mną i całą drogę płakała, że na sierotę wszyscy się wzięli, że dokuczają mi, bom sierota. A ta „sierota” była od zawracania chmur! Pamiętam, że w liście napisałam chłopakowi, że chciałabym się z nim spotkać na pastwisku, tam, gdzie pasaliśmy krowy.



Moją popisową „wpadką” w dziecięcych latach było posikanie dziadziusiowi boiska, czyli klepiska w stodole. Co roku, przed żniwami, każdy gospodarz przygotowywał klepisko pod zboże. Dziadek Kazimierz również. Na kolanach zalepiał mokrą gliną wszystkie nierówności, aby potem dobrze było młócić cepami. Wyrównał wszystko na medal, otworzył wrota stodoły z dwóch stron, aby klepisko ładnie wysychało. To boisko to była jego duma. No to ja mówię chłopakom, że obsikam to boisko. Oni drażnili się ze mną, mówiąc, że się nie odważę, że nie zrobię tego, bo na pewno boję się dziadka. No to ja tym bardziej - twardo mówię, że to zrobię i że możemy się nawet założyć. Chodziłam po tym boisku i zostawiałam mokre plamy. Nawet kucać nie musiałam, wystarczyło trochę nogi szerzej stawiać. Ledwie skończyłam, a tu nagle dziadek idzie. To ja - chodu, tymi drugimi wrotami i w nogi! Dziadek próbował biec za mną, ale zaraz musiał zawrócić, bo biedak, nie miał ze mną żadnych szans. Poza tym wiedział, że przecież i tak mu w ręce wpadnę. Uciekałam prosto przed siebie, miedzami, w pola. W końcu usiadłam na miedzy, uplotłam wianek z bławatków i podjadłam trochę niedojrzałych ziaren pszenicy, bo już zgłodniałam. Słońce już się chyliło na zachód, głód zaczął mi mocno doskwierać, to postanowiłam pomału i ostrożnie zbliżyć do chałupy. Przeskoczyłam płot i skryłam się w drewnianym wychodku, który stał z tyłu chałupy. Ledwie tam stanęłam, dziadek przyszedł za potrzebą. Od razu capnął mnie za rękę i chyba nawet zapomniał, po co tam przyszedł. Trzymał mnie mocno, żebym mu nie uciekła i zaprowadził do sieni. A tam sprawił mi takie lanie tymi lejcami po dawnym koniu, co to wisiały na kołku, że do tej pory je czuję na skórze. Ale chyba na to zasłużyłam, bo to już naprawę

była profanacja z mojej strony. Chociaż...jakby miał trochę poczucia humoru, to mógłby wpaść na to, że dobrze zrobiłam - zmoczone boisko nie popęka...

Pamiętam, że zawsze, gdy coś spociłam, jak podarłam sukienkę na przykład, to trzymałam się do wieczora z dala od domu. Wracałam późno, młodsze dzieci już spały, nie wolno było hałasować, to kazali mi tylko szybko nogi umyć i kłaść się spać. W ten to sposób czasem mi się upiekło...



Naszym królestwem był las. To on nas żywił. Szczęście, że był blisko - jakieś 500-600 metrów od wsi. Już wczesną wiosną, w marcu czy w kwietniu, chodziliśmy na wodę brzozową. Każdy ze swoją półlitrową butelką, na szyjce której był uwiązany sznurek. Każdy chłopak miał swój nożyk - kozik. To oni nacinali korę brzozy albo płytko położone korzenie. Jakoś tak zmyślnie mocowaliśmy te butelki do drzew, że sok z brzozy pięknie do nich kapał. Przeważnie nakapało nam pół litra. Koniecznie trzeba było pilnować swojej butelki, bo inaczej jedni drugim wypijali. Sok był smaczny, lekko słodki. Dzisiaj można taką wodę brzozową kupić w sklepie lub aptece.

Mnie, szczególnie wczesną wiosną, zachwycały leśne kwiaty, ich całe kobierce - białe, żółte, niebieskie, a nawet kolorowe- takie polne pierwiosniki. Zawsze przynosiłam do domu trochę kwiatów.

Potem nachodził czas na poziomki. Nawlekaliśmy sobie te poziomki na żdźbła trawy. Nie zmarnowała się ani jedna poziomeczka. Pamiętam, że raz nawet przyniosłam do domu takie poziomkowe żdźbło.

Następne były leśne maliny. Nie zbieraliśmy do żadnych pojemników, tylko od razu je pałaszowaliśmy i najadaliśmy się do syta. Utkwiło mi w pamięci jedno zbieranie malin. W trakcie zerwała się ogromna burza. Deszcz lał strumieniem i okropnie grzmiało. Jakieś 200 metrów ode mnie była moja koleżanka Fredzia ze swoją „paczką”. Dziewczynka skryła się pod drzewo i chyba musiała się o nie oprzeć. Niestety, piorun uderzył właśnie w to drzewo. Fredzia zginęła na miejscu. Byliśmy wszyscy przestraszeni i przez kilka dni nie chodziliśmy do lasu. Cała nasza klasa, razem z wychowawczynią była na pogrzebie Fredzi. Zapamiętałam jej piękne, rude włosy.

Kiedy po latach jako dorosła osoba pojechałam do Malawy, odnalazłam na cmentarzu grób Fredzi. Wspominałam czas, gdy miałyśmy po 10 lat, nasze dziecięce szaleństwa...

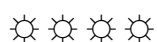
Następnym, naszym leśnym łupem były jeżyny. Wtedy wszyscy mieliśmy niemiłosiernie podrapane ręce i nogi. U schyłku lata przychodził czas na orzechy laskowe. Na dużych, leszczynowych drzewach huściliśmy się jak Tarzan. Chłopaki zbierali orzechy za koszulę.

Ja przewiązywałam sznurkiem sukienkę w pasie i tam wkładałam swój łup. Siadaliśmy potem na brzegu lasu, na polanie i wysypywaliśmy swoją zdobycz na jedną kupkę. Siadaliśmy wszyscy wkoło po turecku, a herszt bandy albo ktoś inny, bystry w rachunkach, który dobrze liczył do pięciu, dzielił każdemu po pięć orzechów. Gdy już ich było mniej, to po trzy sztuki, potem po jednej, aż do wyczerpania. Porządek musiał być. Potem każdy dostawał swoją dolę i na większym kamieniu, tłukł orzechy mniejszym kamieniem. Jak tak się zjadło ze 30 orzechów, po drodze do domu poprawiło się rzepą wyrwaną z czyjś polu, to wieczorem w domu wystarczyło się napić wody i można było iść spać.

Właśnie ta rzepa...- ona była szczególnym źródłem naszego żarełka. Po skoszeniu żyta, czasem już w lipcu, na płytkiej orce - mówiło się - podorywce, ludzie siali rzepę. W ten sposób był drugi zbiór w tym samym roku. Gospodarze siali tę rzepę na paszę dla bydła. Czasem zdążyła urosnąć taka, jak pięść dorosłego człowieka. Zawsze mieliśmy już rozeznanie w terenie - gdzie rośnie największa rzepa. Jedna była o zabarwieniu czerwonym, inna odmiana była zielona. Smakowała jak rzodkiewka, ale musiała być młoda, bo stara robiła się łykowata i gorzka. To całkiem jak z ludźmi... ☺ Lepszym wzięciem cieszyła się ta czerwona. Po takiej rzepowej uczcie wracaliśmy do domu z brudnymi, czerwonymi gębami.

Dobra też była młoda brukiew - mówiło się na nią „karpiele”. Trzeba było najpierw obgryźć z niej skórkę.

Wczesną wiosną, dobrym, jarskim daniem był młody szczaw, prosto z łąki. Chodziliśmy po niej boso. Jak się nadepnęło na pszczołę, to oczywiście użądliła, ale kto by się tam tym przejmował? Szerszeń- to już było coś!



Ze swoim młodszym rodzeństwem nie byłam tak bardzo związana uczuciowo. Może dlatego, że nie lubiłam siedzieć w domu. Ale jak komuś działa się jakaś krzywda lub mu coś dolegało, to mocno to przeżywałam. Moja o 4 lata młodsza siostra – Julia - cierpiała na powtarzające się wciąż jęczmienie na powiece, które nie chciały się goić. Po sąsiedzku była jedna taka „specjalistka” - szamanka, która przychodziła i spalała nad przykrytym okiem dziecka jakieś ziele. Julia płakała, bała się bardzo, a ja zaraz uciekałam z izby. Kiedy pewnego razu zobaczyłam, że ta baba idzie do nas, to przygotowałam sobie kilka kamieni, żeby ją nimi potraktować, to może już więcej do nas nie przyjdzie. Kiedy po latach, już jako dorosła, przyjechałam do rodzinnej wsi, nadal nie lubiłam tej sąsiadki.

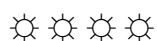
Imiona moje i mojego rodzeństwa, to osobna historia. Ja dostałam imię Anna po babci, której nie zdążyłam poznać. Mojej mamy siostra też miała na imię Anna i też, jak babcia, zmarła

młodo. Na wszystkie Anny we wsi mówiono Hania, Hanka. Na mnie też tak mówiono - najczęściej Hanka. Do tej pory bardzo lubię, gdy siostra tak do mnie się zwraca, Następny był Józio. Nie wiem, po kim to imię, nikt mi się nie kojarzy - po prostu Józio. Był bardzo chorowity, ciągle miał załzawione i zaczerwienione oczy, podwyższoną temperaturę, trudności z oddychaniem, często popłakiwał. Myślę, że to była jakaś ostra alergja, astma, może coś jeszcze... Józio zmarł, gdy miał 11 lat. Ten, któremu nie przyniosłam jagód...

Kolejnym dzieckiem w rodzinie była Julia, która dostała imię po siostrze taty. Ciocia Julia także zmarła młodo. Potem, w styczniu 1941 roku urodził się Antoni. Dostał imię po ukochanym wujku Antonim B. Ze dwa miesiące wcześniej, w sąsiednim domu urodziła się dziewczynka, którą nazwali Terenia - Krysia. Takich wymyślnych imion było niewiele. Tak mi się to imię spodobało, że Antosia nazywałam Tereska. Nie pomagały żadne tłumaczenia, że to przecież chłopiec, dla mnie to była Tereska i koniec! Gdy po roku urodziła się nam kolejna siostra, to ją dla mnie nazwali Tereska.

W tamtych czasach kobiety rodziły w domu. Przychodziła wtedy babcia - sąsiadka, która się znała na odbieraniu porodów. Gdy zbliżał się termin porodu, tata ścielił nam jakąś płachtę w oborze, po drugiej stronie od krowy. Potem przychodziła ta babcia akuszerka. Ja tylko nadśluchiwałam. Aż usnęłam... A gdy rano było już słuchać płaczliwe uuuaa-uuuaa-uuua, wiadomo było, że czas wracać do izby. I „Macie brata!” albo „Macie siostrę!”

Niemowlęta była mocno krępowane, zawijane jak kukielka. Prosto rączki, prosto nóżki - ściśnięte obwiązane taką krajką. Strasznie to przeżywałam, myślałam, że na pewno im niewygodnie, nie wyobrażałam sobie, jak można tak leżeć skrępowanym. Pewnie dawała o sobie znać moja wrodzona klaustrofobia, która mnie do tej pory prześladowuje. Myślę, że takie ściśle obwiązywanie miało, w mniemaniu dorosłych, zapobiegać krzywiznom kończyn i służyć ładnej, prostej figurze. Jednak dużo dzieci i tak miało krzywe nogi, było karłowatymi z chorobą Heinego - Medina. Brak opieki lekarskiej, słabe żywienie...- zawijaki nie pomagały.



Jak wcześniej wspominałam, śmierć mamy była w moim dzieciństwie przełomowym punktem. Jej odejście zapoczątkowało nowy etap dla całej mojej rodziny. Dziadzius był coraz starszy i coraz słabszy, tata nie miał już czasu i możliwości robienia butów. Wszystko to wiązało się z trudnym czasem dla nas.

Po sąsiedzku mieszkała młoda kobieta - Stasia. Miała synka – Gustka - tego, co go kiedyś pokrzywami wysmagałam. Stasia z moim ojcem mieli się ku sobie, ale dziadzius był jej przeciwny, nie wiem, dlaczego...



Dziadziuś Kazimierz zmarł w marcu 1945 roku. Chorował na astmę. Pamiętam dokładnie dzień jego śmierci. Zawołał jeszcze, aby mu podać gromnicę. Strasznie płakałam. Zdawało mi się, że jak dziadziusia zabraknie, to cały świat przestanie istnieć. Pędem wybiegłam z domu i puściłam się do cioci Magdusi z krzykiem, że dziadek umiera. Ciotka szybciotko przydreptała do naszej chałupy, aby wesprzeć ojca w tej trudnej chwili. Ciotka Magdusia była żoną wujka Antoniego - kuzyna mojej mamy. Najpocziwsza kobieta pod słońcem. Ciotka Magdusia i wujek Antoni to rodzice tej spokojnej Zosi, o której już wspominałam.

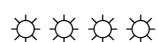
W lipcu 1945 r. tata ożenił się ze Stasią. Wtedy trochę odżyliśmy. Stasia, mimo, że miała chorą nogę i chodziła o lasce, wszystko przy nas robiła: kąpała dzieci, zmywała, prała, gotowała. To było na pewno dla niej wielkie wyzwanie - stać się naraz matką pięciorga małych dzieci. A przecież codzienne życie było takie trudne... Pranie robiło się oczywiście na tarze. Wcześniej trzeba było nanosić wody ze studni, rozpalić w piecu i zagrzać w garach wodę. To wszystko często w małym dzieckiem na rękę, a dwoje kolejnych trzymało się spódnicy. Przecież Tereska miała wtedy jedynie półtora roku.

Stasia okazała się bardzo dobrą mamą. Z czasem, młodsze dzieci zapomniały o swojej rodzonej mamie. Były za małe, żeby pamiętać, tym bardziej, że mama przed śmiercią dość długo chorowała.

Ja jako „wolny strzelec”, trzymałam się trochę na dystans, na uboczu, ale słowo „macocha” nigdy by mi nie przeszło przez usta. Po prostu do Stasi to nie pasowało. Była dla nas najlepszą matką. Nigdy nie podniosła ręki na żadne dziecko. Stasię też wychowywała druga mama, ale tamta to była prawdziwa „macocha”. Gdy Stasia zamieszkała z nami, powiedziała do dzieci:

- Mnie krzywdzili, ale ja was nie skrzywdzę.

I tak było. Gdy w 1947 roku wyjechaliśmy z Malawy na ziemię odzyskane, Stasia miała już dwoje swoich dzieci. W nowym miejscu nikt nie wiedział i nikt by nie poznał, że starsze nie są jej rodzonymi dziećmi. Wszystkie traktowała równo, kochała jednakowo i tak samo się o wszystkie troszczyła. A i my wzajemnie traktowaliśmy się jednakowo, na równi ze wszystkimi. I tak jest do tej pory.



Ciekawym tematem mojego dzieciństwa jest higiena. W czasie wojny brakowało wszystkiego (no, może poza dziećmi), więc i mydła, nie wspominając już o innych środkach czystości. Nawet jak ktoś zdobył gdzieś kawałek mydła, to tak go było brzydko czuć. Ludzie brzydzili się go używać, mówiąc, że zapewne zrobione z ludzkich ciał. Gdy nasz tata został sam,

to nawet nas wszystkich nie miał kto wykąpać. Normalne więc było, że wszystkie dziewczynki miały wszy. Na szczęście tych odzieżowych nie było! Chłopcom było łatwiej, bo mieli pogolone głowy na łyso. W naszej chałupie dziewczynki miały wszy, w szkole też koleżanki miały wszy, a i po sąsiedzku nie pamiętam, aby ktoś ich nie miał. Dopiero gdy Stasia do nas przyszła, zadbała o czystość. W każdą sobotę było wielkie kąpanie. Wcześniej nagrzali nam wody do dużej wanny (tak mi się zdawało, że była duża), a kąpiel zaczynało się oczywiście od najmłodszego dziecka. Ja na końcu. Pewnie niejednen maluch nasikał wcześniej do tej wody. Potem mama Stasia wyczesywała nam włosy takim gęstym, dwustronnym grzebieniem.



Cofnę się jeszcze do lat wojny, a właściwie jej końca. Wszyscy już wiedzieli, że Niemcy się wycofują i że zbliża się wojsko radzieckie. Pamiętam jedną taką przełomową noc z końca lipca, może początku sierpnia... Wkoło słyhać było strzały, świst kul. Ludzie w pośpiechu kryli się w piwnicach. U nas ratowaniem dobytku zajęła się ciotka Wiktusia i tata. Ciotka powiązała pierzyny i poduszki w tobołki (to był wtedy najwartościowszy dobytek) i zaniósła je do piwniczki. Wszystkie ubrania założyliśmy na siebie. Obok naszej chałupy stała stodoła. Była położona nisko, w dole, więc była mniejsza możliwość, że trafi w nią jakaś zbłąkana kula. Już po południu zaczęli się schodzić do niej sąsiedzi. Dziadziś Kazimierz na tym słynnym klepisku rozścielił słomę i na niej wszyscy się sadowili. Tego popołudnia, od pocisków spłonęły we wsi trzy chałupy. W jakiejś piwniczce, do której najczęściej wchodziło się z komórki, zaczadziły się dwie rodziny - 5 osób. Mnie oczywiście trudno było wytrzymać bez biegania w tej stodole. Byłam tak podekscytowana tym wszystkim, że nie mogłam usiedzieć na miejscu. Wreszcie, późnym wieczorem, jakoś mnie zmorzyło i zasnęłam. Dorośli oczywiście się nie kładli, czuwali na wypadek pożaru czy innego nieszczęścia. Była w tej stodole też taty kuzynka ze swoimi dziećmi. Najmłodsze, jeszcze niemowlę, obwiązane wełnianą chustą, trzymała przy piersi. Rano okazało się, że dzieciątko jest martwe. Bardzo to przeżywałam. Rano, wrota stodoły otworzył radziecki żołnierz.

- No co? - powiedział po rosyjsku pokazując swoją ogoloną głowę - Niemcy wam mówili, że my mamy rogi, a my nawet włosów nie mamy!

I to był koniec wojny dla Maławy. Rzeszów został wyzwolony 2 sierpnia 1944 roku. Mieszkańcy naszej wsi przyjęli radzieckich żołnierzy życzliwie. Pewnie każdy wydawał się lepszy od Niemca. Nie było żadnych rabunków ani gwałtów. W Maławie radzieckie oddziały często robiły sobie postoje dla odpoczynku. Pamiętam, że pewnego razu żołnierze kazali sobie przed nocą pościelić słomy na klepisku w naszej izbie. Spało wtedy u nas piętnastu, a może i więcej żołnierzy. Znów

miałam co podglądać i kogo podsłuchiwać. Spali oczywiście w mundurach. Jednej nocy, któremuś z nich wybuchł w kieszeni pocisk. Huk był straszny, wszyscy się nagle poderwali. Biedakowi rozerwało pośladek, jęczał strasznie, krew się lała i zaraz go od nas zabrali. A rano poszli dalej.... Potem jeszcze w naszym sadzie rozbijali namioty, rozpalali kuchnię polową. A wieczorami w ruch szła harmoszka, były śpiewy i tańce. Ja też z nimi podrygiwałam i wydawało mi się, że potrafię tak samo. Nauczyłam się wtenczas sporo słów i piosenek po rosyjsku, mogłam się z nimi porozumieć. Pierwszą piosenką była „Razkwitały jabłanie i gruszy”.

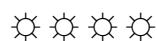
U ciotki Marysi swoje namioty miał oddział sanitarny. Wszystkie sanitariuszki znałam po imieniu - była tam Szura, Hania i Marusia. Dowodził nimi lekarz w stopniu majora. Któregoś dnia trafiłam na akcję, gdy ten major kłócił się z sanitariuszką w izbie ciotki. W tej kłótni, wyjął nagle pistolet i skierował go na dziewczynę krzycząc: „Ubiju jak sabaku!” Wtedy ciotka Kasia zerwała się ratować sanitariuszkę, stanęła przed nią, rozłożyła ręce prosząc: „Panie, nie!” Może major nie miał zamiaru strzelić, może chciał dziewczynę tylko nastraszyć, ale możliwe też, że ciotka Kasia uratowała jej wtedy życie.

Te sanitariuszki tak pięknie wyglądały w mundurach, że trudno było od nich oczy oderwać. I one, i major często pomagali ludziom w sąsiedztwie. A to dziewczyny opatrunek komuś zrobiły, a to lekarz przebadał. Naprawdę, byli bardzo życzliwi. Gdy opuszczali wieś, smutno nam było i żal. Cała dzieciarnia odprowadzała oddział aż do końca wsi.

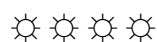
Potem ten major stacjonował jeszcze w Rzeszowie i nasz ojciec się nawet z nim zaprzyjaźnił. Robił mu i jeszcze innym oficerom, buty. Musiały być z cholewami, ale takimi, żeby były jak harmoszka - mięciutkie. Od majora dostaliśmy koc, szafę i jakąś żywność. Przywiózł nam też maszynę do szycia - niemiecką, dobrej marki. Tata się bardzo z tej maszyny cieszył, bo potrafił uszyć wiele rzeczy dzieciom i sobie. Szył spodnie, koszule flanelowe ze stójką, bo kołnierzyk chyba był za trudny dla niego. Miałam wtedy nowe zajęcie - asystowanie przy tym szyciu. Podpatrywałam uważnie i jak potem taty nie było, to sama próbowałam szyc. A nie było to proste. Najbardziej skomplikowane było nawleczenie igły. Przez kilka koluszek trzeba było tę nitkę prowadzić, zanim się ją w igłę nawlekło. Już prawie wszystko opanowałam i już miałam palec pod igłą, gdy mój młodszy brat Józio pokręcił kółkiem od maszyny i wtedy palec tak się pięknie przeszył na wylot, że ani w te, ani we te. Nie wiem już, czy sama zdołałam to kółko przekręcić, czy ktoś z dorosłych mnie uwolnił, ale wiem, że szyc się nauczyłam i całkiem dobrze szylałam proste rzeczy.



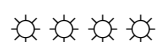
Po wojnie było bardzo mało koni we wsi - większość zabrali Niemcy. Nie było więc jak obrabiać gospodarskich pól. A nasza rodzina właśnie od tego majora - lekarza, dostała konia. Koń był z UNR-y i był wielki jak stodoła. Miał służyć wszystkim gospodarzom wkoło, ale uzgodniono, że będzie stacjonował w naszej oborze, bo tam było dla niego dobre miejsce. Wieczorem chłopcy podprowadzili konia pod drzwi obory. Koń duży, wejście niskie. Ale gdy z wewnątrz zaleciał zapach siana, to koń się skusił i chętnie wszedł do środka na nocleg. Następnego dnia z rana zeszli się gospodarze (no i oczywiście ja - a jakże!), szybko uzgodnili, u kogo koń ma pracować, a tu konisko wyleźć nie chce i wyciągnąć go nijak się nie da. Kuszą go owsem, sianem, wodą, a on nic- nie i koniec. Zdaje się, że zagraniczny koń głupi nie był i wiedział, że lepiej mu w oborze będzie niż ciągać pług po polu. Kombinowali na wszelkie sposoby, wreszcie musieli piłą belkę nad wejściem w oborze wyciąć i dopiero konia wywlekli na podwórze. Nie wiem, gdzie potem „nocował”, ale więcej go nie widziałam.



W 1947 roku urodził nam się braciszek - syn taty i mamy Stasi. Znów my - starsze dzieci - nocowałyśmy w oborze. A rano usłyszeliśmy „łaaaa-łaaaa-łaaaa” i tata obwieścił, że mamy brata. W tym czasie prezydentem był Bierut. No i oczywiście chłopczyk dostał po nim imię - Bolesław. No bo jak inaczej? Do tej pory mamy z tej historii ubaw.



Jako że wciąż wspinałam się po drzewach i wszystkie krzaki w okolicy musiałam zaliczyć, to szybko niszczyłam te biedne sukieneczyny. Rodzice narzekali, że nie można mi nastarczyć. Wreszcie tata zdobył gdzieś taki sztywny, nieprzepuszczalny materiał, koloru wojskowego - khaki i z tego mi uszyli sukienkę. Mówili, że to ze spadochronu. Tego już nie dało się podrzeć. Ale było tak sztywne i nieprzyjemne w dotyku, że musiałam nosić pod spodem flanelowa koszulę.



Piękną tradycją w Malawie były dziady, czyli przebierańce. Pochody dziadów odbywały się każdego roku w Święto Trzech Króli, czyli 6 stycznia. Ja tego dnia wyczekiwałam już od początku zimy. Przebierali się przeważnie kawalerowie ze wsi i był to prawdziwy majstersztyk. Podejrzewam, że wszystkie rekwizyty były przechowywane z roku na rok. Ważnym elementem była „koronka” - jakby wersja dużego różańca - gdzie na łańcuchu były umocowane duże, drewniane kule. Przebierańcy potrząsali tą koronką, a wtedy drewniane kule dawały niesamowity dźwiękowy efekt. Do tego chłopaki głośno pohukiwali „hu-hu-hu” .... Wszystkie dzieci aż piszczały z przejęcia i podniecenia, mniejsze pewnie ze strachu. Czasem któryś z nich przebierał się za babę. Każdy miał obowiązkowo wypchany kłęb - garb, na grzbiecie stary kozuch założony włosom

na wierzch, do tego podarte spodnie, a ze starych butów wylaziła słoma. W pasie przewiązani byli powrósem ze słomy, na głowach mieli stare, baranie czapy, a na twarzach długą brodę z konopi i maski z przerażającymi, drewnianymi zębami, którymi tak strasznie szczękali. Mówiono, że w dolnej części maski była deseczka najeżona gwoździami i gdyby ktoś chciał tę maskę zerwać, pokaleczył by się. Dziady zazwyczaj chodzili od chałupy do chałupy w kilkusobowych grupkach i zaczynali wczesnym rankiem, jak jeszcze było ciemno. Najpierw hałasowali pod oknem, a potem próbowali wleźć do izby. Jednak nie wszędzie byli wpuszczani, pewnie dlatego, że małe dzieci się ich bały. Każda gospodyni była przygotowana na przyście dziadów - dawała im drobne pieniążki - tzw. „szczodroki”, a czasem częstowani byli czymś mocniejszym. Gdy jakaś panna szła do kościoła, to obowiązkowo ją zaczepiali, ciągnęli do tańca, czasem umazali twarz sadzą. U nas to nawet pod okno im nie pozwalano podejść, bo dzieci bardzo się bały. Ale szczodroka trzeba było dać...

Konkurencją była grupka dzieci, która też się przebierała i chodziła po wsi, bo dzieciaki też chciały nazbierać trochę pieniążków. Obowiązkowo musiała być baba i chłop. Wszyscy przebrani w kozuchy, czapy, brody z konopi, gęby pomazane sadzą. Dzieci chodziły po chałupach i składały gospodarzom życzenia, mówiły ludowe wierszyki:

*„Na szczęście, na zdrowie na ten Nowy Rok,*

*Żeby wam się rodziła pszenica jak groch,*

*ziemniaki jak pniaki, a bób jak chodaki.*

*I proso, abyście gosposio nie chodzili koło blachy boso.*

*A winszować nie przestanę aż szczodrocza nie dostanę”.*

*„Ja mały szczodroczek wylazłem na pnioczek,*

*A z pnioczka na wodę i utraciłem se brodę”*

Ja także też mam jedno „piękne” wspomnienie z dziadów. Jak wspomniałam, żadne dziady nie wchodziły do naszej chałupy, ale gromada dzieci za nimi biegała po wsi, w odpowiedniej odległości. Oczywiście, że nie mogło mnie zabraknąć wśród nich! Gdy dziady weszły do izby w czyjejś chałupie, gromada dzieci piszczała i cisnęła się w sieni, bo każdy chciał wszystko widzieć. W sieni stała ławka, a na niej dwa wiadra wody. Gdy tak się przepychaliśmy, ławka się przewróciła i woda z wiader wylała się prosto na nas. Byłam mokra z góry na dół i już było po zabawie. Mróz na dworze porządny, ja cała zmoczona. Bałam się wracać do domu, więc znów schowałam się w wychodku, co to był za chałupa (jakiś sentyment miałam do tego miejsca?).

Musiałam stać tam jakiś czas, bo ta moja suknia, uszyta ze spadochronu, zrobiła się sztywna jak deska. Patrząc - dziadek idzie! Ale tym razem nie był zły, tylko wziął mnie za rękę i zaprowadził do izby. Obeszło się pokojowo - zdjęli ze mnie tę „deskę” a mnie wsadzili pod pierzynę. Jakoś nic mi nie było to tym „zimowym chrzcie”.

Z zimowych atrakcji był jeszcze Mikołaj, który przychodził 6 grudnia. On też mi nie dawał spokoju przez kilka lat. Zawsze rano szukaliśmy pod poduszką prezentów. Bo prezenty były - a jakże...: 2 lub 3 cukierki owocowe, kilka orzechów włoskich, czasem jakieś ciastko i małe jabłuszka. Dorośli zawsze nam mówili, że Mikołaj przyszedł w nocy, gdy spaliśmy. Pewnego roku, może miałam wtedy z 11 lat, bo już była mama Stasia, postanowiłam tego Mikołaja upilnować. Nie spałam całą noc. Słyszę, że tam na łóżku rodzice coś do siebie szepczą. Wreszcie, może koło północy, tata mówi po cichu: „Chyba już spiją...?” Porobił za tego Mikołaja co trzeba i poszedł spać. Ja z niczym się nie zdradziłam, udawałam, że śpię i nawet odpowiednio posapywałam i pochrapywałam, żeby było wiarygodnie. Za to rano im mówię: „To ja już wiem, jak to Mikołaj przychodzi!” No i sprawa się ryła - Mikołaj już więcej nie przyszedł do niegrzecznej dziewczyny.

Kolejna atrakcyjna sprawa to choinka stawiana w izbie na Boże Narodzenie. Tata przynosił ją z lasu i zawsze była to nasza ukochana choinka, choć dość „kryzysowa”. Bombek nie było. Mieliśmy kilka papierowych ozdób, wisało też kilka orzechów włoskich i kilka zwykłych, owocowych cukierków zawiniętych w papierki. Najładniejsze były małe, czerwone jabłuszka zawieszane blisko pnia, żeby gałązki się nie wyginały pod ich ciężarem. Czasem były też jakieś ciastka - pierniczki. Największą ozdobą choinki były jednak świece, różnokolorowe, zrobione ze stearyny. Jedne były proste, inne kręcone. Mocowało się je na klipsie, jakby spinaczu do bielizny, na górze którego było miejsce na tę świeczkę. Zdarzało się sporo pożarów z powodu tych świeczek, bo przecież wystarczyła chwila nieuwagi...

Choinkę stroiliśmy w Wigilię. I potem znów czuwałam w nocy, żeby zakraść się do niej, gdy wszyscy już zasną. Po cichutku wstawałam i wyjadałam z choinki cukierki. Już pierwszego wieczoru kilka z nich zniknęło, kolejnej nocy następne i po trzech dniach wisały już tylko puste papierki. Za to tak artystycznie zawinięte, że do złudzenia przypominały cukierki. Coś mi się zdaje, że ktoś mi skutecznie pomagał z tymi cukierkami.

Takie drzewko prosto z lasu ustrojone w orzechy, jabłka i cukierki i do tego zapach świeczek to coś, czego nigdy poza dzieciństwem nie doświadczyłam, a za czym całe życie tęsknię... Mam wrażenie, że teraz żaden świerk nie pachnie tak, jak tamten.

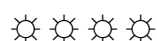
U jednych naszych sąsiadów mieszkały trzy panny i nie było żadnych dzieci. Wiadomo - u nich zawsze była najdłużej ładna choinka, bo nie miał kto podkraść cukierków. Była tak

obwieszona, że nie było na niej wolnego miejsca. Chodziłam do nich i godzinami przyglądałam się drzewku podziwiając je. Dziwne, bo nawet im nie zazdrościłam tej choinki, tylko nadziwić się nie mogłam, że można tak gęsto ją obwiesić...

Nie wiem, kto mnie nauczył (ach, prawda- nauczycielka w szkole na pracach ręcznych!), ale potrafiłam robić przepiękne ozdoby z papieru i bibuły. Najładniejsze były jeże. Trzeba było wyciąć kółko z kolorowego papieru (wcześniej je odrysować od czegoś okrągłego - garnuszka na przykład), naciąć równo w ośmiu miejscach do środka kółka, a potem każdy płatek zwinąć w tutkę na ołówku i skleić. Osiem lub dziesięć takich kółek trzeba było nawlec przez środek na nitkę i ciasno związać. Wychodziła z tego ładna, kolczasta kula. Robiłam też ładne, pierzaste pompony z cienkiej bibuły, a łańcuchy to już było mistrzostwo świata. Specjalizowałam się w trzech rodzajach. Jeden był z bibuły i słomy - przetykane na przemian, inny z kolorowych pasków papieru, a jeszcze inny z krepiny składanej z dwóch pasków w harmonijkę. Robiłam też piękne Mikołaje z wydmuszek i waty.

Jeżeli w dzieciństwie robiłam takie ozdoby, to zawsze u kogoś w chałupie. U nas nie było ani bibuły, ani krepiny, ani kleju, ani nożyczek, ani warunków. Panny z innych chałup we wsi pozwalały mi przychodzić do nich na te prace ręczne.

Pewnego razu sklepikarzowi, co to miał sklep blisko nas i co to nie chciał mi dać cukierków na zeszyt, zmarł dwuletni synek. Żona sklepikarza - pani Kazia - strasznie rozpacziała i było mi jej bardzo żal. Razem z kilkoma innymi dziewczynami zrobiłyśmy z papieru kwiaty do wieńców na grób chłopczyka. Wszystkie kwiaty były białe. Zrobiłam z krepiny piękne róże, inne to pierzaste, duże chryzantemy i jeszcze irysy z żółtymi środkami. Może nie byłabym taka gorliwa z tymi kwiatami, gdyby nie to, że nosem czułam tam cukierki. I dobrze czułam. Pani Kazia przeprowadziła mnie przez sklep, zrobiła z papieru tytkę w rożek i nasypała mi może ze 20 deko cukierków. I nawet wszystkie cukierki zaniiosłam do domu. Nooo..., prawie wszystkie.



Czymś bardzo atrakcyjnym, w moich oczach jako dziecka, były wiejskie wesela. Czekałyśmy na te wesela z utęsknieniem, gdyż były to dla nas niesamowite widowiska. Dziewczyny były wystrojone w krakowskie stroje, konie przy furmance przystrojone kolorowymi wstążkami. Grała muzyka, ludziska tańczyli, ale nade wszystko ważne było to, że można było wtedy dostać „szyszki”, które na wesele zawsze piekła druhna. Były one robione z drożdżowego ciasta i faktycznie kształtem przypominały szyszkę. Ilość i jakość tych szyszek była uzależniona od zamożności rodziny. Jedne były pyszne, inne mniej..., raz ich było więcej, innym razem niewiele. Gdy weselicho „szło z buta”, to druhna rozdawała szyszki dzieciom, które wyczekiwały

pod płotami, a jeśli wesele jechało furmankami i zbyt szybko mijało dzieci, druhna rzucała smakołyki za rów. Mało się dzieci nie pozabijały wtedy, bo oczywiste jest, że nie dla wszystkich starczało. Kto pierwszy, ten lepszy.

W niedzielę, podczas Mszy Św., Ksiądz też dziękował nowożeńcom za „szyszkę”, która zdecydowanie wyglądała inaczej niż ta dla dzieci. Zawsze był to odpowiedni koszyk z szynką swojską, ciastem ... a i pewnie jakaś szyjka butelczyny też sterczała z tego koszyka. No i tradycji stawało się zadość.

Jeśli wesele odbywało się gdzieś w pobliżu, to chodziliśmy jeszcze na tzw. „kromki”. Staliśmy w pobliżu, przyglądaliśmy się gościom, słuchaliśmy muzyki i ... czekaliśmy. Raz na jakiś czas gospodyni wesela, czyli matka panny młodej wychodziła z przetakiem, w którym nakrojone były kromki drożdżówki i częstowała wszystkie dzieci, które stały za płotem. Dzieci wzajemnie się z siebie podśmiewywały, mówiąc z pogardą „O, poszła na kromki!”, a w rzeczywistości wszystkie chodziły.



Niemalym przeżyciem były odpusty. W naszej wsi zawsze był 10 sierpnia na Św. Wawrzyńca. Chodziłam na odpust z tatą i zawsze trzymałam go za rękę. A to dlatego, że miałam nadzieję, że coś mi kupi. Oczywiście, zazwyczaj płakałam, bo chciałam i to i tamto, a mogłam dostać tylko jedną rzecz, bo przecież dzieci było więcej i wydatków dużo. A na tym odpuscie...- czegoż tam nie było?! Oczami dziecka to same cuda! Balony, baloniki, kogutki, trąbki, gwizdki, klekoczące, drewniane zabawki. Taki patyk na dwóch kółkach, a na nim albo trzepoczący motyl, albo koniki, co to podnosiły się do góry i opadł y- toż to istne cudo. Albo rulon z kolorowej bibuły, co to miał końce takie zakręcone i pierzaste, a w nim kilka pierników i inne łakocie - marzenie...

Była też baba, co to sprzedawała ogórki małosolne prosto z beczki. Łowiła ogórki drewnianą łyżką, a wkoło roznosił się zapach tych ogórków. Niektórzy pytali: „Po ile juszka?” (czyli woda z ogórków). „Juszka za darmo” - odpowiadała baba. „To poproszę kubek”. Nigdy tego nie widziałam, ale mówili, że każda baba w takiej beczce z ogórkami trzymała też ropuchę, żeby schładzała juskę. Myślę, że wtedy juszka była najlepsza. A jak ropucha łeb wychyliła z wody, to dostała od baby drewnianą łyżką i dalej poszła robić za chłodziarkę.

W dniu odpustu już do późnego wieczora słyhać było po wsi różne trąbki, gwizdki, fujarki, kogutki, klekotki. Dzieci bawiły się drewnianymi zabawkami, odbijały baloniki. Następnego dnia już było ciszej, a po kilku dniach pewnie już wszystko było popsute i życie wracało na swoje dawne tory.





Zaraz po wojnie, w 1946 roku, poszła po wsi propaganda o tym, że najlepiej jest wyjechać na ziemię „wyzyskane” (jak to mawiał Pawlak w „Samych swoich”). Trzech kuzynów mojego ojca wyjechało na Dolny Śląsk w okolice Środy Śląskiej. Jeden z moich stryjów wyjechał z rodziną, gdy miał ośmiomiesięczne bliźnięta, a podróż trwała tydzień. Przyjechali jeszcze potem zimą do naszej wsi pozalać jakieś sprawy i bardzo namawiali ojca, aby też wyjechał. Mówili, że ziemi jest pod dostatkiem i władze obiecują wszystkim zapisywać tę ziemię na własność. A u nas ... dzieci przybywało, a wraz z nimi przybywało biedy i życie było naprawdę ciężkie. Tata jako szewc miał niewiele zamówień. W mieście można było buty kupić w sklepie, a z samych napraw wyżyć nie szło. I tata postanowił też wyjechać. W tym samym czasie z naszej wsi wyjechało jeszcze dziesięć rodzin do tej samej miejscowości. Tata sprzedał kawałek ziemi, dokupił jedną krowę oraz konia i w kwietniu 1947 roku wyruszyliśmy do naszego Eldorado. Wtedy nasz najmłodszy brat (ten „od Bieruta”) miał trzy miesiące.

Zabraliśmy ze sobą cały nasz dobytek – część powiązana była w jakieś płachty, łóżka poskładane i luzem inne sprzęty.... Wszystko, co potrzebne do życia. Zapewne najmniej było kłopotu z ubraniami - wszystko włożyliśmy na siebie. Z Malawy wyruszyliśmy do Rzeszowa furmankami. Sąsiad nas zawiózł do PUR-u, czyli do Powiatowego Urzędu Repatriacyjnego. W jakiejś dużej hali rozłożyli nas w kącie ze wszystkimi manelami. Pewnie wyglądaliśmy żałośnie, ale nie my jedyni. Było tam bardzo dużo rodzin i wszyscy wyglądali tak samo. W tej hali czekaliśmy do następnego dnia (a może dłużej?), aż nam podstawiono wagon towarowy. Byłam bardzo podekscytowana, wszystko mnie ciekawiło. Miałam 12 lat i po raz pierwszy widziałam kolej. Moja siostra Julia zajmowała się kotem, którego wiozła w poszewce na jaśka. Wagon był podzielony drągiem na dwie części. W jednej były krowy i koń, w drugiej części rodzina: rodzice i sześcioro dzieci, w tym niemowlę. No i kot w poszewce. Na środku naszej części, zaraz naprzeciwko dużych, przesuwanych drzwi stał żeliwny, okrągły piecyk - koza. Komin wystawał na zewnątrz. Rano mama doiła krowy, potem gotowała zacierkę na tej kozie. Nie pamiętam żadnych narzekań, że jest źle...Może też dlatego, że dla nas, dzieci, wszystko było takie ciekawe, nowe. Przetaczali nasz wagon na bocznicę różnych dworców towarowych, czasem nawet czekaliśmy cały dzień, aż do następnego składu pociągu do Wrocławia. W końcu, po tygodniu, dojechaliśmy do celu. Pamiętam, jak dziwiłam się, co to za miasto - same kikuty domów sterczały - tak było zniszczone. Następną stacją była Środa Śląska towarowa, która była oddalona około 2 kilometrów od miasta. Na stację wyszła po nas nasza stryjenka Zosia, bo przecież sami byśmy nie wiedzieli, gdzie się znajduje ta ziemia obiecana. Szliśmy we trójkę - stryjenka, tata i ja, reszta została na stacji i czekała na transport. Prowadziłam jedną krowę, tata drugą i tak szliśmy przez środek miasteczka, przez rynek. Krowy na pewno zostawiały po sobie ślady, ale w tamtym czasie nikogo

to nie dziwiło i nie gorszyło, ani nikomu nie przeszkadzało. Po resztę rodziny i nasz dobytek wyjechali furmankami nasi stryjowie. Zaprzęgli też naszego konia i zawieźli nas 6 kilometrów od Środy Śląskiej, do poniemieckiego folwarku. Był tam ładny pałac z wieżyczką, dalej duże budynki mieszkalne, potem duże obory i stodoły i dwór, który miał być rozparcelowany. Ziemia tam była urodzajna, mówili o niej, że jest pszenno-buraczana. Oprócz dziesięciu rodzin, które przyjechały z naszej wsi, zamieszkiwały tam też trzy rodziny spod Częstochowy. Wszyscy żyliśmy bardzo zgodnie, uczciwie i jeszcze bardziej pracowicie. Nie wiem, czy po przyjeździe, jeszcze w kwietniu tata mógł posiać jakieś zboże, czy może kuzyni mu wcześniej obsiali pole, ale pod koniec lata już mieliśmy żniwa- swój jęczmień i owies. Poza tym mieliśmy zakontraktowane buraki cukrowe, bo niedaleko, w Malczycach, była cukrownia.

Każda rodzina musiała być samowystarczalna. Mężczyźni kosili zboże kosami, a kobiety podbierały z pokosu zboże i wiązały je w snopki. Jako że mama Stasia nie mogła pracować w polu ze względu na chorą nogę, robiłam to ja. Chodziłam za kosą, podbierałam i wiązałam zboże. I całkiem dobrze mi to szło, wyrobiłam się. Gorzej mi szło z powróżkami, nie mogłam ich dobrze złapać - może przez tę moją dominującą lewą rękę. Potem trzeba było snopki składać w mendle, żeby odpowiednio przeschły, a następnie pakować na wóz. Tata odbierał snopki na wozie, a ja mu z dołu podawałam widłami. Miałam jedynie 12 lat, a pracowałam, jak dorosła. Nie biadoliłam z tego powodu, byłam dumna. I czułam się taka ważna, gdy mama przynosiła nam obiad na pole. I w domu też siadałam do obiadu jako „zasłużona”, jak bohater jakiś. Mama Stasia nauczyła mnie też doić krowy, ale mnie do inwentarza nigdy nie ciągnęło, w przeciwieństwie do mojej siostry Juli. Ja zawsze kochałam przyrodę - kwiaty, łąki, pola, lasy...

W tym czasie przyjechał do nas mamy młodszy, przyrodni brat- Heniek. Był starszy ode mnie o 4 lata. Heniek bardzo kochał Stasię, bo to praktycznie ona go wychowała. Pamiętam, jak wieszał się jej na szyi mówiąc: „Ty jesteś moja mama...”. Przyjechał do nas, bo tak naprawdę, to nie bardzo wiedział, co ma ze sobą zrobić - czy się uczyć, czy pracy szukać. A u nas w tym czasie bardzo się przydał. Heniek został moim kompanem. Najlepiej nam szło przy burakach, których mieliśmy zakontraktowanych pół hektara. Byliśmy pracowici i sprytni. Zrobiliśmy swoje i jeszcze zdążyliśmy pomóc innym w rodzinie. Czasem się też tłukliśmy. Heniek był starszy i silniejszy, więc nie miałam szans, ale za to miałam swoje sposoby na niego - łapałam go mocno za włosy i wtedy prosił, aby go puścić.

Pamiętam, jak pewnego razu, po całym popołudniu pracy w burakach, wracaliśmy do domu i nagle, na polnej drodze, zając wyskoczył nam spod nóg. Postanowiliśmy go złapać i puściliśmy się za nim sprintem. Kiedy kto złapał zająca w biegu?! Ale my uparcie biegliśmy za nim. Sąsiad,

który w pobliżu orał pole, widział to nasze polowanie, to potem się wszyscy śmieli, że co prawda nie złapaliśmy zająca, ale za to tak go zmęczyliśmy, że biedak dostał zapalenia płuc.

Drugim naszym „ulubionym” zajęciem było rwanie lnu, którego też było pół hektara. To całkiem dużo jak na ręczną pracę dla dwojga, w tym 12-letniej dziewczynki. Ale też zawsze byliśmy w czołówce. Aż palce od środka mieliśmy czasem pocięte od tych ostrych włókien. Wysuszony i powiązany len chłopcy odwozili furmankami 16 kilometrów dalej - do roszarni w Strzegomiu.

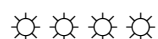
Najfajniejszy był dzień, kiedy gospodarze jeździli do cukrowni po rozliczenie za buraki. Oprócz pieniędzy, każdy dostawał worek cukru (50 kg) w rozliczeniu. Czuliśmy się bogaczami. Oprócz cukru gospodarze przywozili takie suszone wytłoki dla bydła, które potem należało namoczyć. Następnie jeździło się po rozliczenie do roszarni lnu. Tam zawsze rodzice jeździli razem, bo w rozliczeniu można było wziąć różne tkaniny. Wszyscy przywozili całe bele płótna na pościel, flaneli na koszule, drelichu na spodnie, a nawet majtki. Czasem był też jedwab. Raz, gdy miałam może ze 14 lat, dostałam taki granatowy jedwab na sukienkę, chyba za te pocięte palce. Przyjechała mamy kuzynka, która była krawcową i obszywała nas wszystkich. Maszynę mieliśmy swoją - tę od rosyjskiego oficera. Dostałam też swoje pierwsze w życiu jedwabne, beżowe pończochy. Nogi miałam chude i proste jak kołki w płocie, a pończochy musiały się utrzymać na takiej okrągłej gumce wszytej na górze. Niektóre dziewczyny nosiły pończochy na gumce od słoików. Pamiętam, jak w tej jedwabnej sukience i nowych pończochach poszłam 3 kilometry do kościoła. Jak mi te pończochy uprzykrzyły życie - wciąż zjeżdżały i skręcały się na wszystkie strony, że miałam z nich obwarzanki na nogach. Musiałam co chwila przystawać i je poprawiać. Gdy wróciłam do domu, to tak byłam umęczona tymi pończochami, że miałam dość zgrywania panny. Wolałam już tę sukienkę ze spadochronu.



Gdy wyjeżdżaliśmy z rodziną z Malawy, kończyłam piątą klasę. Tam, dokąd przyjechaliśmy, w ogóle nie było szkoły. Najbliższa była oddalona o 3 kilometry i zapisali mnie do niej dopiero we wrześniu. Jako że nie miałam świadectwa ukończenia piątej klasy, znów musiałam iść do piątej. Z nauką nigdy nie miałam trudności i lubiłam szkołę. Do szkoły chodziłam z tylko z jednym kolegą - Kazikiem. Szczególnie utkwiły mi w pamięci nasze zimowe wędrówki po wiedzę. W drodze powrotnej nie spieszyło nam się - brodziliśmy w głębokim śniegu, jedliśmy owoce tarniny (ciarki), które, gdy przemarzły, były miękkie i słodkie albo przemarznięte owoce dzikiej róży. Te ostatnie trzeba było rozerwać, wygrzebać ze środka pestki i oczyścić z włosków, które strasznie drapały i kłuły w gardło. Ale owoce były pyszne i warto było się pomęczyć. Czasem niektórzy robili sobie psikusy i wrzucali innym rozerwany owoc róży za koszulę. Niemiłosiernie to

gryzło w plecy. Obserwowaliśmy też z Kaziem zwierzęta - zające i ptaki. Widzieliśmy stada kuropatw, czasem udało się spotkać pięknie upierzonego bażanta.

Mimo bardzo dobrych wyników w szkole, edukacje musiałam zakończyć na szkole podstawowej. Choć bardzo chciałam, nie mogłam iść do szkoły średniej, bo wiązało się to z mieszkaniem w internacie, a to nie wchodziło w grę, że względu na to, iż byłam potrzebna w domu - do pomocy przy dzieciach i do pracy w polu.



I tak, dobrze, zgodnie i szczęśliwie żyło nam się w tej osadzie aż trzy lata, dopóki władza ludowa nie wpadła na pomysł utworzenia spółdzielni produkcyjnej. Przyjeżdżali wtedy różni agitatorzy, przedstawiciele lokalnej władzy i dręczyli gospodarzy, namawiali, obiecywali. Nie chcieliśmy tej spółdzielni. Ludzie gadali między sobą, że to będą kołchozy na wzór radziecki, gdzie wszystko będzie wspólne, nawet żony. Niektórzy naprawdę w to wierzyli. W końcu postanowiono utworzyć Państwowe Gospodarstwo Rolne. Zabudowania tam były odpowiednie, w okolicy już takie PGR-y były. Władze dawały gospodarzom wybór: można było pozostać i być pracownikiem PGR-u lub wziąć gospodarstwo indywidualne, ale w innym miejscu, gdzieś na terenie Dolnego Śląska. Ale gospodarstwa już były „przebrane”, pozostały te mało atrakcyjne, zaniedbane, w gorszym stanie, z dala od wsi i miasteczek. Nasz tata nie chciał się już przeprowadzać. Kto miałby pracować w gospodarstwie, które potrzebuje silnych rąk? On i ja? Kilka rodzin skorzystało z tej propozycji, kilka wróciło w swoje rodzinne strony, a kilka pozostało, w tym i my. Naszemu ojcu zaproponowano etat brygadzysty polowego, którego zadaniem było bieganie po polu z drewnianą, dwumetrową krokwią i mierzenie, ile kto zrobił - zasiał, zaorał, wybronował albo opielł. Ojciec to zapisywał i wieczorem przekazywał te dane do biura.

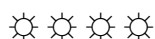
Jesienią 1950 roku przysłali sześć czy osiem traktorów i zaorali wszystkie nasze poletka. Jakiś etap życia zamknął się na zawsze.

Od razu zjawiał się kierownik. Pamiętam, że miał wyjątkowe i fantastyczne poczucie humoru. I właśnie ten kierownik zatrudnił mnie w biurze, bo przecież ktoś musiał liczyć te dniówki. Nauczył mnie liczenia na drewnianych liczydłach. I tak, w wieku lat piętnastu, z wykształceniem „wyższym podstawowym” zostałam pracownikiem umysłowym, czyli młodszą księgową. Nic to nadzwyczajnego - w tamtych czasach kierownicy, magazynierzy, księgowi otrzymywali posadę „z awansu”. Mało kto miał jakieś wykształcenie. Wystarczyło, że się trochę znał na rolnictwie i miał chęci - to już wystarczyło. A jeśli jeszcze go tego był w partii, to już elita całą gębą. Ja w partii nigdy nie byłam.

Szybko opanowałam technikę liczenia na liczydłach, liczyłam szybko i bezbłędnie, ładnie i bezbłędnie pisałam, więc za jakiś czas awansowałam, ale o tym później. Muszę powiedzieć, że wbrew pozorom, moja praca nie była taka bagatelna. To od mojego liczenia zależały zarobki pracowników. Była taka gruba księga pt.: „Układ zbiorowy pracy”! Według zapisków brygadzysty, musiałam odnaleźć właściwy charakter wykonywanej pracy (czy na akord czy godzinowa...) i według tego wyliczałam, ile pracownik zarobił danego dnia. Następnego dnia wywieszałam listę zarobków z poprzedniego dnia. Pracownik mógł sprawdzić i ewentualnie interweniować, jeśli uważał, że zostało mu błędnie policzone. Każdy pracownik miał kartę pracy - taki dwustronny kartonik z rubrykami: data, rodzaj pracy, ilość godzin i kwota, jaką zarobił. Trzeba było zsumować dane z pierwszej strony, przenieść je na drugą stronę, a na koniec miesiąca wszystko razem dodać i z tych kart sporządzić listę płac. Kierownik odwoził tę listę do zespołu w Karnicy (około dziesięciu PGR-ów), gdzie już był prawdziwy dyrektor, kasa i księgowość. Kierownik przywoził pieniądze, które wypłacał pracownikom. Po kilku miesiącach to ja wypłacałam pensję.

Wtedy to już u nas w domu była „ameryka”. Tata przynosił wypłatę, a rodzinnego dostawał więcej niż wypłaty. Do tego była też moja pensja. I wtedy, nie wiem, z czyjej inicjatywy, przenieśli mojego ojca do tego zespołu w Karnicy na magazyniera. Obok tego kombinatu, gdzie był dyrektor, było jeszcze osobne gospodarstwo z końmi i krowami. Posada magazyniera nie była dobra. Było bardzo dużo magazynów - z paliwem, z paszą dla inwentarza, z roboczą odzieżą i pościelą dla pracowników. Był też magazyn ze zbożem, które trzeba było przyjąć od kombajnistów, magazyn z żywnością do stołówki zakładowej. Praca była więc ciężka i odpowiedzialna finansowo. Za ciężka dla jednej osoby. Tacie trudno było nad tym wszystkim zapanować, często się nie wyrabiał i bywało, że wysługiwał się kimś, dając mu klucze od magazynu, aby sam sobie wziął i magazyn zamknął. Myślał, że jak sam jest uczciwy, to wszyscy wkoło też. Ale tak nie było i ludzie coraz więcej kradli. I potem, przy kontroli, okazywało się, że w magazynach wciąż czegoś brakowało. Niektóre rzeczy się wpisywało bez pokrycia, aby tylko ktoś to podpisał.

Mnie zatrudniono w biurze tego zespołu, najpierw w sekretariacie jako pomoc. Tam nauczyłam się pisać na maszynie. Przyjmowałam pocztę, wydawałam pisma za pokwitowaniem od księgowych z terenu. Pisma i pocztę roznosiłam po odpowiednich oddziałach. Podobała mi się ta praca - codziennie uczyłam się czegoś nowego.



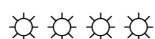
Kiedy mieszkaliśmy w Karnicy, to na porodówce w Bukówku urodziła się nam kolejna siostra. Mama bardzo chciała ją nazwać Grażyna, bo to było wtedy takie modne, nowoczesne imię. Kilka dni po narodzinach, tata poszedł do Bukówka (6 kilometrów od Karnicy), żeby zarejestrować dziewczynkę. Tata nie znał takich zmyślnych, nowoczesnych imion i za nic nie mógł

sobie tej Grażyny przypomnieć. Cecylia wydała mu się bardzo podobnym imieniem do tamtego i tak ją zapisał. Mama była zła na tatę, że nie ma swojej Grażyny, ale z czasem, tak jak i my, przyzwyczaiła się do Cecylii i było dobrze.

Kolejnym etapem w mojej karierze zawodowej była praca starszej księgowej w innym PGR-ze, 6 kilometrów od Karnicy. W pracy już nie liczyłam dniówek - robił to młodszy księgowy, ja zaś zajmowałam się „ważniejszymi rzeczami”.

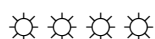
Wyprowadziłam się już od rodziców i mieszkałam z dwiema przedszkolankami. Tatę zaś przeniesiono do Ogrodnicy, do mniejszego PGR-u na magazyniera. Przyjeżdżałam do rodziców od czasu do czasu, najczęściej na święta. Już w Ogrodnicy, właściwie w szpitalu w Środzie Śląskiej, urodziło się nasze najmłodsze rodzeństwo - bliźniaki. Urodziły się za wcześnie i zakonnice, nie pytając nikogo i zdanie, ochrzciły je z wody nadając imiona: Marysia i Staś. Kolejne imiona z przypadku, ale bardzo ładne.

Życie płynęło spokojnie. Jula też już pracowała, młodsze rodzeństwo uczyło się w szkołach.



Kiedy bliźniaki miały po 5 lat, a Cela 10, zmarła mama Stasia. Chorowała na raka. Miała jedynie 43 lata. Znowu tata został sam z małymi dziećmi. On też niedomagał, a po śmierci Stasi już się nie podniósł. Zmarł dwa lata później. Najmłodszymi dziećmi zając się musiało starsze rodzeństwo. Zawsze wszyscy pomagaliśmy sobie w potrzebie i wspieraliśmy się. Mogliśmy na siebie liczyć w szczęściu i nieszczęściu. Tym razem także. Marysię wychowała Tereska, a Stasia i Celę - Jula.

I tak skończył się mój czas sielskiego (i mało anielskiego) dzieciństwa i nastał czas dorosłości. Choć w dużo łatwiejszych czasach, coraz to dogodniejszych warunkach, to wcale nie łatwiejszy niż dzieciństwo, do którego myślami tak często wracam...



Zebrało mi się na te wszystkie wspomnienia z myślą o mojej rodzinie: o moim rodzeństwie, które nie pamięta tamtych, dawnych czasów, z myślą o naszych dzieciach, wnukach i prawnukach. Dzisiaj jest nas razem jakieś 90 osób. Chciałam im wszystkim pokazać, uzmysłwić, jak bardzo inne było życie 80 lat temu. Inne, począwszy od warunków w domu, poprzez żywienie, zabawy i zajęcia dzieci, po obyczaje...

Dzisiaj żadne z wnuków i prawnuków zapewne nie może sobie wyobrazić życia w drewnianej chałupie krytej słomianą strzechą, z dwoma małutkimi okienkami, bez prądu, gazu...,

gdzie zazwyczaj w jednej izbie mieszkali trzy pokolenia: dziadkowie, rodzice i dzieci. W chałupie, gdzie druga część, obok mieszkalnej, przeznaczona była dla inwentarza - najczęściej dla krów. Obie części chałupy łączyła wspólna sień. I przez tę sień wyprowadzało się wiosną krowy na pastwisko. I jak wytłumaczyć krowie, aby ze swoimi potrzebami fizjologicznymi wstrzymała się na czas przejścia przez sień obok izby? No, nie da się. I różnie to bywało. Nie raz akurat wtedy właśnie się jej zachciało. Zresztą, obornik też był wynoszony przez sień...

Jak wyobrazić sobie codzienne życie w chałupie, gdzie przy wejściu do izby, po prawej stronie drzwi wisiała kropielniczka z wizerunkiem Pana Jezusa lub Matki Boskiej, w której była święcona woda? Wchodząc, należało umoczyć palce i się przeżegnać, potem obowiązkowo pochwalić Boga.

Kto z dzisiejszego pokolenia zna taki obrządek, kiedy to w Niedzielę Palmową, po obiedzie, gospodarz z gospodynią szli w pole patrzeć, czy ozimina ładnie powschodziła, po czym, niemal z nabożną czcią wtykali poświęconą palmę w zboże, która miała je chronić przed suszą, ogniem, gradobiciem i innymi nieszczęściami? Nie zna, pewnie nawet nie słyszał....

Kiedy byłam młodą kobietą, kiedy już pracowałam, miałam swoją rodzinę, wychowywałam dzieci, nie myślałam o dawnych czasach, nie wspominałam ich. Może nie było na to czasu, może zbyt mocno pochłaniało mnie to, co aktualnie robiłam...?

Teraz, w podeszłym wieku, gdy jestem na emeryturze, zebrało mi się na wspomnienia. Pamiętam każdą ścieżkę koło domu, każdą krowę, którą palowałam mając 7 lat... Krowa nazywała się „Fryza”, bo była rasy fryzyjskiej...

Z późniejszych lat też wszystko pamiętam. No, może prawie wszystko.... Ale niektórych rzeczy warto też nie pamiętać. ☺

Nie oznacza to, że teraz czasem nie przytrafi mi się szukać jakiejś rzeczy, której nie wiem, gdzie położyłam. Zdarza się, ale kluczy do lodówki jeszcze nie schowałam ☺

Pamiętam za to bardzo dokładnie moją rodzinną wioskę, chałupy, ludzi w niej zamieszkujących.

Kiedy po 20 latach pojechałam do Malawy, wysiadłam na przystanku autobusowym i... nie poznałam mojej wsi. Szosa biegnąca przez środek miejscowości z prawdziwego zdarzenia. Samochody śmigają, że przejść było trudno. Domy piętrowe, ogrodzenia wysokie, wymyślne takie, metalowe, z błyszczącymi ozdobami i tabliczkami, że uważaj, nie wchodź, bo Cię pies pogryzie. I nigdzie żywego ducha. Ludzie pozamykani w domach albo w pracy, albo gdzieś w podróży. Dzieci pewnie przed komputerami albo telewizorami.

Widziałam jeszcze kilka starych chałup i to one są bliskie memu sercu. Wzruszył mnie widok znajomych kapliczek - jednej z wizerunkiem Matki Bożej, gdzie dawniej, w maju, biegałam śpiewać nabożeństwa, a drugiej przy drodze do kościoła, z wizerunkiem Jana Chrzciciela.

Gdy wracałam z kościoła, zobaczyłam taki oto obrazek: przed bardzo nowoczesnym domem, nowoczesny dziadek z nowoczesną babką huśtają się w nowoczesnej huśtawce. I w ogóle mi ten obrazek „nie leżał”. Wolałabym zobaczyć całkiem inny: dziadek z babką siedzą pod chałupą na przyzbie. Dziadek robi miotłę z brzozy albo wyplata koszyk, a babka przyszywa dziadkowi łaty do spodni. A ci się huśtają! Wstyd... Skojarzyli mi się z tym chłopem, co kiedyś raz pojechał na rok do Stanów i po powrocie przez 10 lat mówił: „U nas w Ameryce...”

Życie w czasach, które tu wspominam, było ciężkie, ale tego się nie odczuwało, nie mieliśmy takiej świadomości, bo przecież innego życia nie znaliśmy. Tak było od zawsze. Nasze życie, choć ciężkie, było takie... zwyczajne, proste, czyste. Nikt się nie nudził, wszyscy się wzajemnie szanowali, mieli czas dla siebie, pomagali sobie. Woda tylko w studni, pranie tylko na tarze, światło z lampy naftowej, a pod nogami klepisko z gliny. A przy tym wszystkim ludzie bardzo radośni, uśmiechnięci, dzieci szczęśliwe. Może dlatego, że żadne nie musiało się martwić, czy jest zasięg internetu, zazdrościć drugiemu nowszego modelu komórki czy martwić się, gdzie pojechać na wakacje...?

I tak, w rezultacie okazuje się, że ważne jest życie samo w sobie. Życie jako wartość. Życie jako dar, który człowiek dostał od Boga. I tylko szkoda, że czas tak szybko mija... Ale cóż, nie było nas i był las...

No i to by było na tyle.